

Kazimierz W. Frieske

Nauki społeczne w służbie spraw publicznych – polskie tradycje

Społeczeństwo oparte na wiedzy

Prezentowany dalej wywód jest zorganizowany wokół kilku tez podstawowych. W tej czy innej postaci były one formułowane w stosownej literaturze przedmiotu, choć służyły zwykle jako argumenty prowadzące do nieco innych konkluzji. Nad rozmaitymi formami praktycznego wykorzystania wiedzy naukowej, czy – szerzej – jakiegokolwiek systematycznej wiedzy, zastanawiało się wielu metodologów i filozofów nauki, dochodząc do wniosków tyleż oczywistych, co ciągle nieco amorficznych.

Po pierwsze, nie ma jakichkolwiek wątpliwości co do tego, że jedną z najbardziej typowych form praktyczności systematycznej wiedzy o świecie jest to, że kształtuje ona coraz silniej – wypierając zdrowy rozsądek i potoczne doświadczenie – rozmaite praktyki dnia codziennego. To jedna z najbardziej oczywistych interpretacji sloganu mówiącego o „społeczeństwie opartym na wiedzy”. Obecność nauk przyrodniczych w naszej codzienności zaznacza się w tysiącach działających wokół nas urzędów, bez których nie wyobrażamy sobie życia, choć zwykle nie pamiętamy, że ich powstanie stało się możliwe dzięki bardzo, niekiedy, zaawansowanej refleksji teoretycznej. Ale to samo można powiedzieć o wiedzy gromadzonej w naukach społecznych. Przecież to, jak urządzamy nasz świat społeczny, jest, przynajmniej w jakimś stopniu, konsekwencją tego, co w systematyczny sposób wiemy o rządzących nim prawidłowościach. Jako formę rządu wybieramy demokrację reprezentatywną, przekonani o tym, że lepiej stabilizuje ona życie zbiorowe aniżeli jakakolwiek tyrania – nawet, gdyby miała to być tyrania cnót merytokratycznych. Wszyscy, czy prawie wszyscy, żyjemy w jakichś porządkach organizacyjnych, ale kształt i struktura tych porządków jest funkcją tego, co o nich wiemy. Poszukiwania rozsądnego kompromisu między ideą „wolnego rynku” wraz z jego proefektywnościową zasadą konkurencji i ideą regulacji to wprawdzie przedmiot tyleż ideologicznych, co merytorycznych sporów, ale przecież wiemy, że właśnie rozsądny kompromis, nie zaś nacisk na rozwiązania skrajne, dobrze służy gospodarce. Popularna literatura pełna jest wielonakładowych porad-

ników opowiadających o efektywnych sposobach osiągania indywidualnego sukcesu i – czegokolwiek by się o tych poradnikach, a także o zawodowych kreatorach wizerunku, nie powiedziało – starannie odsiewając bzdurę, przekonujemy się, że tkwi w tym wszystkim systematyczna, nieuchwytna w potocznym doświadczeniu, wiedza o funkcjonowaniu człowieka w jego społecznym otoczeniu.

Po drugie, wiedza gromadzona w naukach społecznych bywa wykorzystywana praktycznie jako instrumenty sprawowania władzy politycznej. W mniejszym stopniu idzie tu o kierunek myślenia wyznaczony przez dorobek Machiavellego, w większej mierze natomiast o wszystko, co wiąże się z administrowaniem sprawami publicznymi i procesami podejmowania decyzji. Jeśli nawet za tymi decyzjami, w stopniu większym, niż byśmy tego chcieli, kryją się rozmaite grupowe interesy, to jednak – o czym poucza przypadek słynnego „peronu we Włoszczowej” – istnieją rozsądne granice lekceważenia reguł alokacyjnej racjonalności, zaś ich przekraczanie łączy się zwykle z politycznymi skandalami. Mówiąc najkrócej, coraz częściej chcemy, żeby – *ex ante* – decyzje w sprawach publicznych były uzasadniane jakimiś analizami kosztów i korzyści, chcemy też, żeby – *ex post* – były one uzasadniane studiami ewaluacyjnymi wyłaniającymi, na przykład, tzw. dobre praktyki. Nawiasem mówiąc, warto też brać pod uwagę i to, że zarządzanie politykami publicznymi często sprowadza się nie tyle do racjonalizacji decyzji alokacyjnych, służących rozwiązaniu problemu, ile do przedstawienia informacji sugerujących jego pilność czy publiczną doniosłość. To akurat jest przypadek dość charakterystyczny, bo przecież bywa tak, iż uruchomienie procesu dla wypracowania lepszego czy gorszego rozwiązania okazuje się trudniejsze, aniżeli jego znalezienie – wtedy zwłaszcza, gdy każda z wchodzących w grę opcji decyzyjnych narusza jakieś politycznie doniosłe interesy. Jednak i wtedy nauki społeczne bywają użyteczne – choć lepiej jest mówić w takich sytuacjach o ich nadużywaniu. Wiemy wszak, że jedną z typowych strategii doświadczonych administratorów, usiłujących uniknąć podjęcia jakiegokolwiek decyzji, jest powołanie panelu ekspertów i niespieszne oczekiwanie na to, że uzgodnią oni swoje rekomendacje.

Po trzecie, systematyczna wiedza płynąca z nauk społecznych wkracza w ludzką codzienność, podsuwając takie jej wizje, które nie mogłyby powstać w oparciu o to, co dyktuje zdrowy rozsądek, skumulowane indywidualne doświadczenia czy „życiowe mądrości”. Nie widać powodów, dla których te ostatnie należałoby lekceważyć, mają one jednak tę wadę, że łatwiej znoszą wewnętrzne sprzeczności, tych zaś w nauce staramy się unikać. To – i tak brzmi jedna z prezentowanych dalej tez – ważna forma wykorzystania czy stosowania nauk społecznych. Jest ona tym istotniejsza, że kształtuje ludzkie postępowanie – w tym także działania tych, którzy o biegu spraw publicznych decydują – w sposób mało dostrzegalny i często taki, który wydaje się wielce kontrowersyjny. Na przykład, zwykliśmy tłumaczyć wiele zachowań

dewiacyjnych, także przestępczość, marną efektywnością rozmaitych mechanizmów kontroli społecznej i odpowiednio do tego tworzyć stosowne technologie prewencji czy resocjalizacji. Tymczasem, okazuje się, że współczesne *opportunity theories* każą traktować dewiantów jak ludzi racjonalnych, którzy w zastanej sytuacji dążą do maksymalizacji swoich indywidualnych korzyści i starannie rozważają relację między karami i nagrodami, które są konsekwencją zachowania uznawanego za społecznie naganne. Nie warto może wdawać się w złożoną, teoretyczną dyskusję tego punktu widzenia, warto natomiast wskazać, że – przenikając do codziennego, praktycznego myślenia – radykalnie zmienia on pytanie, które rozpoczyna dywagacje nad sposobami kontrolowania przestępczości. Mianowicie, zamiast pytać – jak robiły to całe pokolenia kryminologów i polityków społecznych – o przyczyny, dla których ludzie popełniają przestępstwa, pytamy o powody, dla których mieliby oni ich nie popełniać – skoro zastana struktura możliwości mówi, że ogólny bilans dokonywania rozmaitych złośliwości może okazać się pomyślny. Nie jest wykluczone, że ten punkt widzenia zakorzenia się powoli w codziennym myśleniu Polaków, zaś jego wyrazem jest – uchwytne w badaniach opinii publicznej – represyjność ich postaw wobec przestępców.

Na kolejnych stronach nieco szerzej zaprezentowana zostanie argumentacja, że ostatnia, ze wskazanych wyżej, forma wykorzystania wiedzy gromadzonej w naukach społecznych jest nie tylko ważna, lecz także – że była ona charakterystyczna dla polskiej socjologii już w jej początkach. Co więcej, początki te wiązały się z recepcją – co prawda wielce eklektyczną – dorobku Comte'a.

Socjologia też posłuży w niniejszym tekście jako ilustracja zjawisk wspólnych dla ogółu polskich nauk społecznych, których granice przez długie lata pozostawały dość płynne, jeśli brać pod uwagę zarówno ich instytucjonalne wyodrębnienie w postaci oddzielnych katedr, instytutów, czy też programów kształcenia nowych adeptów poszczególnych dyscyplin, jak i specyfikę stosowanego warsztatu.

Dalej, sięgając do mniej odległej, bo już dwudziestowiecznej tradycji polskiej socjologii, wskazuje się też na ten jej nurt, który ma wyraźnie krytyczny charakter i wiąże się z koncepcjami tkwiącymi u podstaw Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Prace IGS-u demonstrowają przy tym i to, że idea ewaluacji – jeśli rozumieć ją jako, wspartą systematycznymi danymi empirycznymi, ocenę rozmaitych polityk publicznych – wcale nie jest nowa! Nowy jest tylko termin, zaś to, co się za nim kryje, stanowiło jedno z zasadniczych, programowych zadań instytucji, która obecna była w polskim życiu publicznym przez cały okres międzywojenny.

Wreszcie, ostatnia z prezentowanych tez mówi, że koncepcja badań ewaluacyjnych wyraża dwie formuły wykorzystania wiedzy gromadzonej w naukach społecznych. Pierwsza, bardziej popularna, sprowadza się do posługiwania się tą wiedzą w procesach zarządzania politykami publicznymi dla

ich racjonalizacji. Nie widać powodów, dla których należałoby doniosłość tych zabiegów kwestionować, choć odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu są one wieńczone sukcesami, jest nader złożona i niepewna. Druga, rzadziej dostrzegana i mniej zbadana, choć, wedle prezentowanego tu poglądu, mniej doniosła, polega na dostrzeżeniu tego, że studia ewaluacyjne, gdy zostają zinstytucjonalizowane jako jedna ze społecznych praktyk, są ważnym elementem procesów demokratyzacji życia zbiorowego. Pozwalają nie tylko testować obietnice merytokratycznych elit, lecz także usuwać przynajmniej część napięć, jakie powstają wtedy, gdy usiłuje się poddawać demokratycznej kontroli profesjonalny aparat administracyjny.

Odnosząc powyższe tezy do problematyki popularnych ostatnio badań ewaluacyjnych, warto pokazać, iż nie stanowią one bynajmniej nowego fenomenu, lecz są raczej powieleniem pewnej „kliszy”, typowej dla długiej tradycji stosowanych podejść do naukowej i przednaukowej wiedzy o społeczeństwie.

Fatamorgana „stosowania”

Myśl o praktycznym wykorzystaniu wiedzy gromadzonej w naukach społecznych jest w tej samej mierze uniwersalna co niejasna. Podatnicy chcieliby zapewne wiedzieć, jakie to uchwytne korzyści czerpią z finansowania instytucji naukowych i ich personelu. I trudno zadowolić ich ogólnikowym stwierdzeniem, wedle którego korzyści te polegają na lepszym czy głębszym rozumieniu społecznych procesów. Politycy, nieustannie narażeni na naciski rozmaitych akademickich grup nacisku, z niefrasobliwą hipokryzją wpisują się w polityczną poprawność, z której miałoby wynikać, że droga do sukcesu prowadzi przez zwiększanie nakładów na rozmaite, ekstrawaganckie rojenia o racjonalnie zaplanowanej zmianie społecznej. Studenci, buntujący się przeciwko wysiłkom swoich nauczycieli, bezlitośnie posługujących się symboliczną przemocą teorii społecznych, pytają dość naiwnie o to, co z tych teorii wynika dla tłumienia skrzeku rzeczywistości – słyszanego tym boleśniej, im się jest młodszym i bardziej wrażliwym. Najkrócej – „wykorzystywać”, dla mniej czy bardziej godziwych racji, chce wielu, niektórzy na stosownych deklaracjach budują swoją indywidualną czy grupową pomyślność. Wychylając się nieco z łoży szydery, w której królował niegdyś Antoni Słonimski – warto może zapytać, co właściwie robią ci, którzy mówią, że w swojej praktycznej działalności „wykorzystują” wiedzę, jaką proponują akademickie nauki społeczne”? Wbrew pozorom, pytanie nie jest banalne. Wypada też stwierdzić, że nie jest oryginalne – bo było stawiane wielokrotnie. W anglosaskiej literaturze, poświęconej krytycznej refleksji nad mirażami postępu fundowanego na sukcesach nauki, pojawiło się ono, gdy stało się jasne, że transfer wiedzy między nauką a praktyką, zwłaszcza praktyką polityczną, jest procesem wielce skomplikowanym i dalece nieoczywistym.

Nie jest wykluczone, że późniejsze kłopoty z odpowiedzią na to pytanie przeczuwał przed blisko półwieczem Alvin Gouldner, gdy zwracał uwagę na różnice pomiędzy „techniczną” i „kliniczną” formułą „wykorzystania”. Gouldner pisał tak: „(...) dominujące współcześnie definicje roli badacza i roli decydenta, jakie przyjmuje większość socjologów są osadzone w klasycznym, utylitarystycznym kontekście (...). Decydent definiuje swoje kłopoty jako konsekwencje niedostatecznej wiedzy (...) zakłada on, że dysponując odpowiedzią wiedzą byłby w stanie uporać się ze swym problemem (...) mając na uwadze te założenia prosi o radę socjologa. (...) Socjolog (...) siebie samego określi najpewniej jako źródło wiedzy składającej się z faktów i cyfr (...)”¹. Współcześnie już wiemy, że taka – techniczna właśnie – formuła „wykorzystania”, która miałaby polegać na poszerzaniu wiedzy o ten czy inny problem społeczny, aby przekazać ją zainteresowanemu politykowi lub administratorowi, na uwzględnianiu w procedurach podejmowania decyzji rozmaitych obiektywnych czy naukowych danych, to jedynie radosna iluzja. Nie warto może wdawać się w złożone uzasadnienia tej tezy, dość powiedzieć, że nawet najprostszy pomiar jakiegokolwiek zmiennej nieuchronnie odwołuje się do teoretycznych założeń, przyjmowanych z pewną dozą samoświadomości. Warto natomiast wskazać, że – nawet jeśli wyniki takiego pomiaru, więc właśnie zestaw owych *faktów i cyfr*, są łatwo dostępne, to z tego nie wynika wcale, że zostaną wzięte pod uwagę i wpłyną na treść decyzji.

Rozczarowania socjologów, którzy wielokrotnie przekonywali się o tym, że nie tylko mniej czy bardziej amorficzne wizje społecznej reformy, lecz także systematycznie gromadzone dane są ignorowane, przypominają doświadczenia Platona, który – w roli filozofa i politycznego intryganta – został dwukrotnie relegowany z Syrakuz. Szeroko propagowane frazesy służą bardziej legitymizacji politycznych decyzji niż ich zakorzenieniu w systematycznej wiedzy gromadzonej przez socjologów. Takie, na przykład, hasło gospodarki opartej na wiedzy, bywa wprawdzie instytucjonalizowane w postaci rozmaitych formalnych procedur, ale realia pokazują, że – starym zwyczajem – stanowi ono fasadę, za którą kryje się arbitralność zdrowego rozsądku czy partykularyzm interesów grupowych. Nieustannie przekonujemy się o tym, że wiedza gorsza – choć z tych czy innych względów wygodna – wypiera wiedzę lepszą, bo systematyczną, choć niekoniecznie zgodną ze zinstytucjonalizowanymi stereotypami. Mówiąc najkrócej, nie widać jakichkolwiek powodów, dla których reguły masowej konsumpcji nie miałyby się stosować do konsumpcji wiedzy – wszak o tym, że gorsza moneta wypiera lepszą, wiedział już Kopernik. Oczywiście nie dzieje się tak zawsze, że empiryczna ewidencja gromadzona w naukach społecznych jest kompletnie ignorowana w złożonych procesach podejmowania decyzji o ważnych sprawach publicznych. Można

¹ Gouldner A.W., „Explorations in Applied Social Science”, w: A.W. Gouldner, S.M. Miller (red.), *Applied Sociology, Opportunities and Problems*, The Free Press, N.Y. 1964, s. 17–18.

jednak utrzymywać z powodzeniem, że to, w jakiej mierze decyzje te są przez nią uzasadnione, jest wyznaczone przez przypadek czy przez osobliwości polityki, nie zaś przez jakość gromadzonych danych. Nie jest jednak wykluczone, że w demokratycznych społeczeństwach tak właśnie być powinno – nawet, gdyby miało się to kłócić z pryncypiami racjonalnego decydowania.

Rzecz jednak nie w tym, aby narzekać, że wiedza gromadzona w naukach społecznych bywa marnie wykorzystywana. Trzeba uświadomić sobie, że entuzjazm wobec idei „wykorzystania” – a zatem również wobec rozmaitych koncepcji socjologii stosowanej – jest funkcją tego, jak się to „wykorzystanie” rozumie. Możliwości mamy w tym względzie bardzo wiele. Spora część rozczarowań związanych z rozmaitymi koncepcjami socjologii stosowanej wynika z wąskiej, bardzo instrumentalnej formuły „wykorzystania”, rozumianego jako wdrożenie rekomendacji wyłaniających się z prezentowanych danych empirycznych. Niechętnie stajemy w obliczu problemów strukturalizowanych wedle schematu *kochaj albo rzuć*. Mówiąc nieco inaczej: demokratyczne procesy polityczne rzadko stawiają ich uczestników wobec zero-jedynkowych wyborów, najczęściej politycznie wygodne rozwiązania sprowadzają się do propozycji, wedle których *trochę pokocham, a potem się zastanowię*, czyli do poszukiwania rozwiązań kompromisowych. Instrumentalna formuła „wykorzystania” wiedzy naukowej przez swoje konsekwencje kończy się najczęściej oddawaniem władzy grupom ekspertów – i wydaje się, że jest to zjawisko tym groźniejsze, im częściej wchodzą w ich skład anonimowi analitycy zaludniający zastępy rządowych biurokracji. Nawet gdybyśmy przyjęli, że instrumentalna formuła „wykorzystania” stanowi jedną z jego skrajnych wprawdzie i rzadko spotykanych, ale efektywnych form rozwiązywania rozmaitych problemów społecznych, czyli, że to, co dyktuje naukowy rozum, jest traktowane poważnie, nie ulega zniekształceniom w toku komunikowania jego konstatacji i że jego zalecenia są realizowane bez względu na polityczny kontekst, że nie brakuje ani pieniędzy, ani instytucjonalnej infrastruktury, ani odpowiednio wykwalifikowanego personelu, to i tak zniechęca ona tym, że kryje się za nią władza merytokratycznych elit zarządzających życie zbiorowe bez demokratycznego mandatu.

Nieoczywiste formy „wykorzystania”

Fortunnie idea „wykorzystania” wiedzy gromadzonej w naukach społecznych może być też rozumiana szerzej – na przykład, jako wprowadzanie w struktury myślenia potocznego nowych pojęć czy sposobów obrazowania społecznej rzeczywistości. To zapewne druga, przez swój amorfizm również skrajna, interpretacja „wykorzystania”. Rzecz nie w tym – żeby posłużyć się określeniem Mary Douglas – iż scjentyistyczna kosmologia jest bliższa realiom, a zatem pozwala działać sprawniej, bardziej efektywnie. To kwestie długich

sporów kończących się zwykle takim czy innym wyznaniem wiary – w weberski proces racjonalizacji, wiary w wyższość naukowego poznania nad poznaniem porządkowanym przez zdrowy rozsądek i codzienne doświadczenie, wreszcie – wiary w pożytek płynący z racjonalnego projektowania zmiany społecznej. Chodzi o to, że próby nasycania zdrowego rozsądku wiedzą naukową – nawet, jeśli niekoniecznie prowadzą do lepszego odwzorowywania społecznego świata, to jednak mają tę zaletę, że umożliwiają testowanie obiegowych stereotypów i kwestionowanie tego, co uchodzi za oczywistość i jako takie bywa instytucjonalizowane.

Trzy przykłady mogą zilustrować tę myśl. Pierwszy z nich dotyczy czasów odległych, sięgających głębokiego PRL-u, to jest, końca lat 50. Funkcjonowało wtedy w prasowych enuncjacjach pojęcie najpierw „bikiniarzy”, potem zaś „chuliganów” przejmujących „kapitalistyczny styl życia” i stanowiących widomy dowód dywersji ideologicznej równie groźnej, co zachęcanie stonki ziemniaczanej do pożerania socjalistycznych kartofli. Czesław Czapów odniósł w tamtym czasie spektakularny sukces, publikując – wraz ze Stanisławem Manturzewskim – książkę pt. *Niebezpieczne ulice* wtłaczającą do myślenia o chuliganach obce klasowo pojęcie frustracji – co łączyło się ze zwróceniem uwagi na to, że nie wszystko w socjalistycznym ładzie społecznym układa się tak harmonijnie, jak chcieliby tego jego twórcy. Miało to swoje oczywiste konsekwencje praktyczne, bo wskazywało, że rozwiązywanie strukturalnych problemów młodzieży nie może polegać wyłącznie na ideologicznych szkoleniach, udziale w czynach społecznych itp. Początkowo na niewielką skalę, później na skalę zgoła masową, zaczęły powstawać rozmaite formy, dalej wprowadzane starannie kontrolowanej, ale też w jakimś stopniu autonomicznej aktywności młodych ludzi usiłujących nieco ubarwić szarość miejsca i czasu, przerobić tzw. hotel robotniczy w miejsce nadające się do życia.

Bardzo podobne są losy popularnej współcześnie koncepcji „społecznego wykluczenia”. Termin wszedł do języka publicznych debat i zaczął organizować myślenie i praktykę pracowników socjalnych w drugiej połowie lat 90. Między innymi dlatego, że posługiwały się nim oficjalne dokumenty Komisji Europejskiej wyznaczające kierunki transferów socjalnych i zasady alokacji zasobów na rozmaite programy polityki społecznej. Do wiedzy o zjawiskach społecznej marginalności, gromadzonej przynajmniej od stu lat w ramach akademickiej socjologii, nowy termin nie wnosił nic nowego, ale – interpretowany na poziomie zdrowego rozsądku jako jeden z kluczy do rozumienia codziennych realiów – przekonywał o tym, że zbiorowy sukces i procesy społecznej modernizacji mają także swoje ofiary. Wskazywał, że są wokół nas ludzie, którzy – wbrew stereotypowi – są tacy, jacy są, nie tylko na skutek rozmaitych indywidualnych deficytów, lecz także w rezultacie rozmaitych strukturalnych determinizmów – i z tego względu warto publicznymi zasobami wspierać wysiłki zmierzające do ich społecznej reintegracji.

Przykład trzeci dotyczy pojęcia, które zdobyło sobie dość niechlubną sławę, mianowicie popularnego w publicystyce, czasem uznawanego za polityczny fantom, czasem za część otaczającej nas rzeczywistości, pojęcia „układu”. Otóż, wbrew tym, którzy istnienie i funkcjonowanie „układu” odkrywali, nie mówili oni o społecznym świecie niczego nowego: socjologowie wiedzą lub przynajmniej powinni byli wiedzieć, że jest to zjawisko ponadczasowe i ponadustrojowe. Bywało, że służyło ono do opisu realiów PRL-u lat 70. i wtedy Adam Podgórecki posługiwał się terminem „brudna wspólnota”. Bywało też, że wyrażało ono rozczarowania związane z efektywnościowymi iluzjami wolnokonkurencyjnego kapitalizmu: Mancur Olson opisywał w *Logic of Collective Action* powstawanie „koalicji dystrybucyjnych”, tj. właśnie „układów” składających się z ludzi monopolizujących dostęp do jakiś publicznych zasobów i rozdzielających je wśród jakichś „swoich”. Nie ma zatem w tezie o „układach” oplątujących życie zbiorowe niczego szczególnie oryginalnego, pozostaje jedynie polityczna eksploatacja zjawiska nazwanego, znanego i czasem badanego.

Komplikowanie potoczności

Każdy ze wskazanych przykładów demonstruje to, że przynajmniej część rezultatów akademickiego namysłu wpisuje się w „światy przeżywane” praktyków, wzbogaca je, wyznacza i – co może ważniejsze – legitymizuje decyzje alokacyjne, jak i wskazuje na kierunki działania w rozległych obszarach polityki społecznej. W opisywanych sytuacjach mamy do czynienia z ważną formą „wykorzystania” wiedzy gromadzonej w ramach nauk społecznych – tym ważniejszą, że wiedza ta przekłada się nie tyle na decyzje podejmowane w politycznych czy administracyjnych establishmentach, ile na praktyki życia codziennego. Posuwając się tym tropem, możemy też powiedzieć, że amorficzną wprowadzie i pomiarowo skomplikowaną formą wykorzystania wiedzy, jaką mają pozaakademickiemu światu do zaproponowania nauki społeczne, jest posługiwanie się tą wiedzą dla uzasadniania poglądów wchodzących w szerszy społeczny obieg, czyli w strukturę publicznego dyskursu. Gdyby przyjąć taki punkt widzenia, to okazałoby się zapewne, że socjologia – także zresztą w jej przedakademickiej postaci – była „wykorzystywana” zawsze i że to „zawsze” dotyczy także początków refleksji socjologicznej w Polsce.

Socjologia i zaangażowana publicystyka

Trudno zresztą, by było inaczej – bo początki polskiej socjologii to przede wszystkim oswajanie dorobku Comte'a². „Prawdziwa filozofia pozytywna – pisał Comte – polega więc przede wszystkim na tym, aby wiedzieć dla przewidywania (...)”; „(...) w filozofii koniecznym przeznaczeniem wszystkich naszych zdrowych dociekań jest ciągle ulepszanie naszych indywidualnych oraz społecznych warunków, w których żyjemy, nie zaś czcze zaspokojenie bezpłodnej ciekawości (...)”³. Ale, pamiętając o tym, warto też dostrzegać to, że polska filozofia pozytywna powstawała w szczególnym kontekście doświadczeń i obserwacji, które nastroczało dziewiętnastowieczne społeczeństwo. Gdy Józef Supiński w 1857 r. prezentował opinii publicznej i przekazywał galicyjskiej administracji projekt stworzenia Narodowego Banku Oszczędności, to racje, które ów projekt uzasadniały, wywodził w tej samej mierze z ogólnych zasad gospodarowania i funkcjonowania bankowości, co z charakterystyki gospodarczej i diagnozy lokalnych warunków: „(...) pieniądź przechowywany bezrozumnie, szczególnie pieniądź złoty i srebrny, ukryty za strzechą, w grzędzie ogrodowej lub w lesie pod dębem, to życie naszych wieśniaków, pocziwych i wielce roztropnych (...) lecz żyjących życiem początkującym, lub życiem zwichniętym i odurzonym. Te pieniądze (...) przedstawiają część zasobu społecznego. (...) Te wartości skryte, leżące nieużytecznie (...) użyte zręcznie i w sposób odpowiadający naszym stosunkom mogą stać się materiałem rozległej instytucji kredytowej (...)”⁴.

Jan Welichowski, wydawca *Pism* Supińskiego, uzupełnił druk wspomnianego tu pomysłu następującym komentarzem: „(...) projekt tedy (...) przedłożony był (...) Dyrekcji galicyjskiej kasy oszczędności, która go na jednym ze swoich posiedzeń jednomyślnie przyjęła i chciała wprowadzić w wykonanie; nie dozwoliło jednak tego ministerium państwa (...)”⁵. Ci zatem, którzy narzekają na to, że władze publiczne miewają dość sceptyczny stosunek do reform instytucjonalnych proponowanych przez socjologów znajdują się w dobrym towarzystwie. Ale to, w swojej mądrości, Supiński wiedział sam, pisząc zgryźliwie, że: „(...) bank, który tu projektuję nie powstanie nigdy; bo ażeby pomyśleć o nim szczerze, trzeba pragnąć dobra powszechnego więcej, aniżeli własnych korzyści (...)”⁶. Instytucjonalna porażka Supińskiego była jednak zarazem zwycięstwem, bo przecież jego propozycja weszła w obieg społecznego myślenia i była uznawana za jeden z możliwych sposobów gospodarczej emancypacji. Nie bez powodów, komentując jego dorobek, J. Szacki napisał,

² Por. Szacki J. (red.), *Sto lat socjologii polskiej*, PWN, Warszawa 1995, s. 12.

³ Comte A., *Rozprawa o duchu filozofii pozytywnej*, PWN, Warszawa 1973, s. 46.

⁴ Supiński J., *Pisma. Wydanie poprawione i pomnożone*, t. IV, Warszawa 1872, s. 247.

⁵ Ibidem, s. 235.

⁶ Ibidem, s. 262.

że „(...) wpłynął on bardziej na styl myślenia i postawy obywatelskie niż na szczegółowe poglądy socjologiczne (...)”⁷.

Polska dziewiętnastowieczna socjologia była w dużej mierze – może za wyjątkiem typowego *homo academicus*, Gumplowicza – dziełem ludzi, którzy zajmowali się nią jednocześnie z aktywnościami o charakterze obywatelskim, wyrażającymi się m.in. w publicystyce. Wszak od publicystyki i działalności o charakterze politycznym zaczynał także, już w początkach wieku dwudziestego, Stefan Czarnowski. Nina Assorodobraj pisała wprawdzie, że – jako publicysta – „(...) starał się Czarnowski zawsze wiązać swe wypowiedzi z analizą naukową (...)”⁸, ale byłoby zapewne przesadą utrzymywanie, że on i wcześniejsi polscy socjologowie szukali w wiedzy socjologicznej systematycznego uzasadnienia dla prezentowanych poglądów w sprawach publicznych. Byłoby to też trudne do zademonstrowania poprzez kwerendę oryginalnych tekstów. Nie jest jednak wykluczone, że to, co mieli oni do powiedzenia w sprawach publicznych, w ich wizjach życia zbiorowego było jakoś zakorzenione.

Uwaga ta charakteryzuje obecność w polskim życiu umysłowym Bolesława Limanowskiego. J. Szacki, komentując życie i dzieło Limanowskiego, pisał, że: „(...) przejawiał temperament działacza politycznego, który nauką zajmuje się nie dla niej samej, lecz ze względu na jej spodziewane pożytki praktyczne (...)”⁹. Istotnie, okazuje się, że Limanowski, socjolog eklektyczny, po trosze comtysta, po trosze spencerowski organicysta, spory fragment swojej *Socjologii*¹⁰ poświęcił zmianom społecznym pojawiającym się w rezultacie przyrostów wiedzy naukowej: „nauki stosowane i wpływ onych bezpośredni a olbrzymi na zachowanie, przedłużenie, uprzyjemnienie i uszlachetnienie życia ludzkiego – to stanowczy dowód, że zasób umysłowy w rozwoju ludzkości ma istotnie pierwszorzędne znaczenie. (...) Jeżeli weźmiemy historię którejkolwiek z nauk stosowanych (...) to przekonamy się, że postępy tych nauk nie były przypadkowe, ale zawsze zależały od ogólnego postępu wiedzy i że wynalazki nabierały prawdziwej wartości wówczas tylko, kiedy umiano je oceniać z naukowego stanowiska (...)”¹¹. Po stu latach wiemy, że Limanowski się mylił, że tzw. nauki stosowane generują własną wiedzę i własne teorie naukowe, które swoją strukturą i wewnętrznymi kryteriami metodologicznej poprawności rozmiągają się z ogólnym modelem nauki.

Idzie tu przede wszystkim o pokazanie tego, w jaki sposób socjologiczne koncepcje Limanowskiego wpływały na sposób definiowania tego, co miał on za istotny problem praktyczny, tj. kwestię narodowej niepodległości Polaków.

⁷ Szacki J., op.cit., s. 13.

⁸ Assorodobraj N., „Życie i dzieło Stefana Czarnowskiego”, w: S. Czarnowski, *Dzieła*, PWN, Warszawa 1956, t. V, s. 114.

⁹ Ibidem s. 19.

¹⁰ Por. Limanowski B., *Socjologia*, Gebethner i Wolf, Warszawa 1919.

¹¹ Limanowski B., *Socjologia*, cyt. za: J. Sztumski (red.), *Socjalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju*, KiW, 1989, s. 126.

Można to robić, odwołując się do wielu wątków tych koncepcji, tu wystarczy zapewne wskazać na jeden z przykładów. Otóż, znajduje się w *Socjologii* Limanowskiego wywód, poparty zresztą szeregiem danych empirycznych, z którego wynika, że pojawianie się gospodarczych monopolów jest naturalną, żeby nie rzec, ewolucyjną – konsekwencją komplikacji procesów gospodarowania. Ta teza skłania jednak naszego autora nie tyle do pytania o jej modelowe konsekwencje, lecz do pytania, co z niej wynika dla rozumienia jego współczesności: „(...) jeśli więc ma istnieć monopol, to powstaje słuszne pytanie: czy lepiej, ażeby istniał on w rękach prywatnych, czy też należał do państwa? Odpowiedź nie byłaby trudna, gdyby państwo miało na celu interesy całego narodu. Tam jednak, gdzie rząd, trzymający wszystkie sprężyny organizacji państwowej, jest nie przedstawicielem narodu, a jego wrogiem, jak np. w Polsce, a zwłaszcza w zaborach rosyjskim i pruskim; tam, gdzie państwo służy interesom jednej klasy panującej – tam monopol, powiększając siłę państwową, jest szkodliwy, a nie pożyteczny narodowi (...)”¹².

Wreszcie, warto też odnotować i to, jak bardzo bliskie współczesności okazują się te poglądy Limanowskiego, które dotyczą w szczególności wiedzy gromadzonej w naukach społecznych: „(...) wpływ stosowanych nauk społecznych właściwie jest świadomym oddziaływaniem społeczeństwa na własny swój ustrój, na własne swe losy. (...) Na uniwersytetach wykładają się nauki społeczne, głównie na wydziale prawnym, ale na nim wykłada się jeszcze dotąd cała scholastyka i formalistyka praw, z lekceważeniem istotnych nauk teoretycznych, a z zupełnym pominięciem najważniejszej, socjologii. Tymczasem prawnictwo bez podstawy socjologicznej (...) jest zupełnie w podobnym stanie, w jakim byłaby nauka lekarska bez podstawy biologicznej (...)”¹³. Tych, którzy nie śledzą toku współczesnych reform dydaktycznych na polskich wydziałach prawa, wystarczy poinformować o tym, że w końcu pierwszej dekady XXI w. socjologia została relegowana do przedmiotów fakultatywnych, nauczanych wtedy, gdy przyszli prawnicy kończą już swoją edukację. Tyle może w kwestii losów przenikania idei do myślenia organizującego społeczną praktykę: czasem zakorzeniają się w niej trwale, czasem oportunizm zwany niekiedy wichrem historii wymiata je na dłużej lub krócej.

Socjolog w służbie swojej władzy

Niezależnie od tego, w jakiej mierze i w jaki sposób socjologia wkraçała w myślenie potoczne, warto mieć na uwadze, że zakorzeniała się ona w praktyce poprzez uwikłanie samych socjologów. Pierwsi polscy socjologowie – nawet jeśli nie w ramach akademickiej socjologii, budowali sobie

¹² Ibidem, s. 158.

¹³ Ibidem, s. 171–172.

swoją zawodową tożsamość – wchodzili, bywało, w skład administracji i wykonywali w niej swoje zadania, usiłując czynić to w zgodzie ze swoimi profesjonalnymi kwalifikacjami. Mówiąc najkrócej – i wykorzystując dysfunkcję R. Mertona, który w swoim czasie podzielił ekspertów na insiderów funkcjonujących w strukturach władzy i outsiderów, usiłujących forsować swoje opinie z zewnątrz, na przykład, ze świata akademii¹⁴ – takim socjologiem-insiderem był przez czas jakiś Stefan Czarnowski, pracując jako oficer-specjalista, na rzecz odtwarzającej się, polskiej armii. N. Assorodobraj pisała o Czarnowskim tak: „(...) podczas służby wojskowej (...) na ogół nie zaprzestawał pracy naukowej (...)”. Do ostatniej swej służby w Sztabie Generalnym, (pamiętajmy, że Czarnowski odszedł z wojska dopiero w 1923 r. – KWF), wykonywał szereg zadań naukowych, przede wszystkim w dwóch dziedzinach: demografii i geografii wojskowej. Prace demograficzne służyły miały za podstawę do planowania akcji mobilizacyjnych. Prace z zakresu geografii wojskowej były pracami przygotowawczymi do ustalenia strategicznych podstaw przyszłych granic Polski¹⁵.

Tę informację warto zapamiętać dla dwóch przynajmniej powodów. Po pierwsze – teza o niemalże koniecznym napięciu między światem władzy i światem akademii – nawet jeśli na ogół trafna – w szczególnych sytuacjach okazuje się jawnie fałszywa. Można łatwo wyobrazić sobie, że ta czy inna władza jest przez badacza uznawana, akceptowana i traktowana jako „swoja” – więc taka, której chce się służyć nawet wtedy, gdy bez trudu można zauważyć jej polityczne ograniczenia. To, czego dowiadujemy się z biografii Czarnowskiego, to przecież wzór z powodzeniem powielany po latach przez akademickich socjologów, którzy w początkach lat 90. – rezygnując ze swoich karier uniwersyteckich – zabierali się do budowy nowej Polski i służyli politycznym establishmentom, ten cel mając na uwadze. Powód drugi sprowadza się do odnotowania tego, że socjolog podejmujący rolę insidera tych czy innych struktur politycznych, administracyjnych, usiłujący funkcjonować w nich nie tylko sprawnie, ale i nie wyzbywając się swych zawodowych umiejętności, musi zaakceptować i to, że zaczyna funkcjonować jako członek zespołu, który nie może forsować swoich profesjonalnych racji. Musi godzić się z tym, że racje te są sensowne tylko w tej mierze, w jakiej sprzyjają realizacji szerszych, grupowo zaakceptowanych celów, że zatem staje się jednym z wielu uczestników złożonych procesów podejmowania decyzji politycznych czy administracyjnych. Wprawdzie akademickie ego może z tych powodów bardzo cierpieć, ale przecież w ideę wykorzystania wiedzy gromadzonej w naukach społecznych są wbudowane wartości skoncentrowane nie na pryncypialnym dążeniu do racjonalizacji społecznego świata, lecz na jego naprawianiu. Gdyby zatem

¹⁴ Por. Merton R., „Rola intelektualisty w instytucjach państwowych”, w: R. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, PWN, Warszawa 1982, s. 267 i n.

¹⁵ Assorodobraj N., op. cit.

okazało się, że zbiorowy pożytek płynie z decyzji, które socjologiczną wiedzę ignorują, to – bez względu na to, jak bardzo byłoby to bolesne – nie widać płynących z tego nieszczyć.

Socjologia krytyczna

Jedną z klasycznych form wpływania na społeczną rzeczywistość, łatwych do odszukania w tradycji polskich nauk społecznych, jest wszystko to, co wiązało się z losami Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Są one stosunkowo dobrze udokumentowane¹⁶, a co więcej, tradycja IGS-u przetrwała czasy PRL-u. Jako placówka naukowo-badawcza i dydaktyczna istnieje do dzisiaj w strukturze Szkoły Głównej Handlowej. Pamiętając o związanej z polską lewicą, zwłaszcza z Ludwikiem Krzywickim, tradycji IGS-u, stosunkowo rzadko przywołuje się okoliczności poprzedzające jego powstanie. Otóż, warto powiedzieć, że w początkach XX w. – w ramach warszawskiego Towarzystwa Popierania Pracy Społecznej – od 1910 r. funkcjonowało Biuro Pracy Społecznej pomyślane jako – powiedzielibyśmy dzisiaj – *think tank*, stanowiące intelektualną grupę wsparcia dla reprezentantów Królestwa Polskiego w rosyjskiej Dumie Państwowej. Jednym z aktywistów tego Biura był Władysław Grabski, który na krótko przed wybuchem wojny, w ramach działalności służącej upowszechnieniu systematycznej wiedzy społecznej, wydał dwa roczniki statystyczne Królestwa Polskiego. W swoich początkach Biuro Pracy Społecznej było kierowane przez Zygmunta Chrzanowskiego, prawnika o wyraźnie konserwatywnych afiliacjach, ale z biegiem czasu wśród współpracowników Biura zaczęli pojawiać się ludzie albo bliscy socjalistycznym orientacjom ideologicznym, albo ludzie związani z ruchem ludowym – T. Hołówka, M. Niedziałkowski czy W. Wakar.

W 1917 r. ten ostatni został jego kierownikiem, zaś prace Biura potoczyły się nader dynamicznie – przygotowany został projekt ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego, wykorzystany w 1919 r., a także opracowanie *Polski Program Terytorialny* i trzy tomy raportu *Rozwój terytorialny narodowości polskiej*, zawierającego uzasadnienie dla polskiego stanowiska na konferencji wersalskiej. Ideowe i personalne konflikty doprowadziły do zawieszenia działalności Biura. W. Wakar został odsunięty od funkcji kierowniczych, zaś ideologiczna fronda złożona z jego współpracowników przeniosła się do Towarzystwa Ekonomistów i Statystyków Polskich, zakładając Instytut Gospodarstwa Społecznego, czyli tę placówkę, której dzieje znamy znacznie lepiej. Jej pierwszym szefem dalej był W. Wakar, ale w 1921 r. zastąpił go Ludwik Krzywicki.

¹⁶ Por. Szturm de Sztrem T., *Instytut Gospodarstwa Społecznego 1920–1944. Przyczynek do historii instytucji naukowo-społecznych w Polsce*, PWN, Warszawa 1959.

Właściwie w tym momencie rozpoczęła się krytyczna faza działalności IGS-u, którą jeden z jego współpracowników Tadeusz Szturm de Sztrem, opisywał w sposób następujący: „W latach 1921–1923 chodziło przede wszystkim o pokazanie i zdemaskowanie istotnej roli mechanizmu działającego wówczas w gospodarstwie społecznym Polski, za pomocą którego – jak się okazało – cały ciężar powojennej odbudowy kraju oraz dokonywanych inwestycji przerzucano na barki klasy pracującej. (...) W broszurach Instytutu chodziło o wykrycie rzeczywistej wartości stawek płac, o obliczenie ich prawdziwej siły nabywczej (...) potrzebie tej uczyniło zadość parę prac, (...) które rzuciły światło na rzeczywiste położenie klasy robotniczej w okresie narastającej drożyzny (...)”¹⁷. W powstałym w 1926 r. Statucie IGS-u tak opisane zostały jego zakładane funkcje społeczne: „(...) celem Instytutu jest oparcie gospodarstwa społecznego w Polsce na naukowych podstawach (...)”. Natomiast Ludwik Krzywicki we *Wstępie* do wydanych w 1936 r. *Pamiętników Chłopów*, dziele należącym do klasyki polskiej literatury socjologicznej, pisał, że „(...) Instytut Gospodarstwa Społecznego jest instytucją o celach natury poniekąd doraźnej: usiłuje (...) trzymać rękę na pulsie naszego życia społecznego (...) celem wyjaśnienia tego czy innego niedomagania, oświecenia tej lub innej sytuacji (...)”. Tak właśnie można sobie wyobrażać szeroko rozumiane prace ewaluacyjne, usiłujące wydobyć na użytek publicznej debaty rezultaty rozmaitych politycznych obietnic, które – przy bliższym oglądzie – okazują się często jedynie propagandowym frazesem.

Rezultaty prac prowadzonych w IGS-ie wydają się zgoła imponujące: do klasyki polskich badań społecznych zaliczają się systematyczne badania nad budżetami gospodarstw domowych czy analizy obciążenia podatkami pośrednimi rozmaitych grup społeczno-zawodowych oraz – pionierskie wtedy – badania nad migracjami zarobkowymi Polaków. To, co o warsztacie tych prac mielibyśmy do powiedzenia, współcześnie nie ma większego znaczenia. Doniosłość IGS-u tkwi w tym, że wnosił on do publicznych debat systematycznie uzasadniane punkty widzenia, które bliskie były idei socjologii krytycznej, więc – socjologii kwestionującej reguły politycznej poprawności i pryncypia ideologii sukcesu. Czegokolwiek zatem nie powiedziałoby się o ideologicznych przesłankach wyboru problematyki prowadzonych w Instytucie badań, nie da się zakwestionować tego, że nadawały one społecznej refleksji nader praktyczny wymiar. Więcej nawet – program ujawniania nieoczekiwanych czy starannie pomijanych konsekwencji jakiegokolwiek praktycznej polityki społecznej to nic innego, jak program kładący nacisk na „(...) oparcie gospodarstwa społecznego na naukowych podstawach (...)”. Nie ma większego znaczenia, czy – w zgodzie ze współczesną konwencją – powiemy, że jest to program systematycznie prowadzonych ewaluacji, czy może wybierzemy inny, sensownie brzmiący termin.

¹⁷ Ibidem.

Konkluzje

O badaniach ewaluacyjnych można mówić dwutorowo: jedni chcą w nich widzieć sposób na racjonalizację procesów kształtowania decyzji alokacyjnych, podejmowanych w wyspecjalizowanych segmentach administracji publicznej, drudzy zaś widzą w nich jedną z możliwych metod demokratyzacji tych procesów. Nie ma sensu spierać się o to, która z tych funkcji ewaluacji jest ważniejsza, warto natomiast dostrzec to, że rezultaty ewaluacji są jedną z ważnych form demokratycznej kontroli merytokratycznych establishmentów. Mówiąc nieco inaczej, wyniki ewaluacji – dzięki swojej funkcji krytycznej – to jeden ze sposobów znoszenia „demokratycznego deficytu”, o czym we współczesnych demokracjach mówi się coraz częściej. W demokratycznej retoryce zwykło się przyjmować, że deficyt demokracji jest zjawiskiem groźnym w tej mierze (pomijając już kwestie prawomocności), w jakiej pomniejsza jej przewidywalność – bo utrudnia budowanie consensusu. Publiczny dyskurs, deliberacja, rozmaite formy obywatelskiej partycypacji, mają służyć właśnie poszukiwaniu rozwiązań kompromisowych, a więc – consensualnych. Tymczasem empirycznie uchwytnie argumenty nie wskazują na to, że jest tak istotnie. Takie instytucjonalne rozwiązania, które umożliwiają rozmaite formy publicznej debaty, mogą mieć wprawdzie tę zaletę, że służą jako psychologiczne wentyle pozwalające na osłabianie społecznych napięć, ale nie zbliżają uczestników do osiągnięcia zadowalającego dla wszystkich kompromisu, więc, w konsekwencji – może się okazać – nie stabilizują systemu politycznego. Co więcej, nie ma większych wątpliwości co do tego, że są one źródłem rozmaitych kosztów transakcyjnych. Gdyby tak być miało rzeczywiście, to znaczenia nabiera argumentacja wspierająca taki sposób myślenia, który kładzie nacisk na korzyści płynące z merytokracji: (...) *what matters most to citizens is the securing of certain goods – such as high employment, economic growth and environment protection (...) what people want in these fields is expertise, efficiency and equity. They look for Pareto-efficient improvements that corrects for market failure (...) There should be consultation with affected parties, but this exercise is for information gathering not to promote democratic accountability. (...) Even at the domestic level, technical regulatory issues tend to be delegated to unelected expert bodies (...)*¹⁸. Podsumowując, nie jest wykluczone, że obywatele chcą być rządzeni dobrze – co w kontekście oznacza tyle, że zgodnie z regułami technokratycznej czy ekonomicz-

¹⁸ Por. Willets P., „The Cardoso Report on the UN and Civil Society: Functionalism, Global Corporatism, or Global Democracy?”, *Global Governance* 2006, nr 12, s. 305–324; Moravcsik A., „In Defence of the Democratic Deficit: Reassessing Legitimacy in the EU”, *Journal of Common Market Studies* 2002, vol. 40, s. 727. Podobny punkt widzenia prezentują też amerykańscy obserwatorzy problemów instytucjonalnych UE, np. Giandomenico Majone, „Europe’s Democratic Deficit”, *The Question of Standards, European Law Journal* 1998, vol. 5, nr 4.

nej efektywności – niekoniecznie zaś chcą w procesach sprawowania władzy uczestniczyć. Problem nie sprowadza się jednak tylko do refleksji wokół pytania o to, „czego oczekują od władzy obywatele – demokratycznej partycypacji czy może Pareto-racjonalnego zarządzania?”. Rzecz jest znacznie bardziej podstawowa i polega na ustaleniu, jakie okoliczności i mechanizmy społeczne stabilizują system polityczny. Tu pojawia się możliwość rozsądnego kompromisu: obywatele nie garną się – w ramach rozmaitych instytucji demokracji partycypacyjnej – do kosztownego uczestniczenia w procesach zarządzania politykami publicznymi, ale jednak chcą kontrolować ich rezultaty. Czasem jest to możliwe bez angażowania złożonego warsztatu analitycznego, bo – koniec końców – to, czy dziury w drodze są załatane, czy nie, łatwo zauważyć! Ale nieco więcej wysiłku wymaga odpowiedź na pytanie, jakim kosztem zostały one załatane, i rozstrzygnięcie, czy warto było je łątać, biorąc pod uwagę natężenie ruchu. To wymaga już bardziej złożonych analiz. Możemy je nazwać studiami ewaluacyjnymi i cieszyć się z tego, że oto pojawił się nowy sposób kontrolowania arbitralności decyzji alokacyjnych. Możemy też z pełną pokorą uświadomić sobie, że wprowadzenie warsztat ewaluacji został w ciągu ostatnich dziesięcioleci znakomicie rozbudowany, ale ich idea podstawowa nie jest nowa: ta formuła wykorzystania wiedzy gromadzonej w naukach społecznych pojawiała się w nich także i wtedy, gdy wchodząca w ich skład socjologia miała jeszcze wielce prenakowy charakter.

Kazimierz Frieske – doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Wyższej Szkoły Handlu i Prawa w Warszawie, a także warszawskiego Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych. W Instytucie Socjologii WFiS UW kieruje Zakładem Problemów Społecznych i Planowania Społecznego. Jego prace badawcze mieszczą się w obszarze szeroko rozumianej socjologii problemów społecznych i socjologii prawa, a także tzw. socjologii stosowanej. Jest autorem bądź współautorem lub redaktorem szeregu książek, a poza tym wielu artykułów publikowanych w profesjonalnych czasopismach. Napisał m.in.: *Pijaństwo. Interpretacje problemu społecznego* (Warszawa 1984); *Narkomania* (Warszawa 1987); *Socjologia w działaniu. Nadzieje i rozczarowania* (Warszawa 1990); *Opieka i kontrola. Instytucje wobec problemów społecznych* (Warszawa 1996) *Zjawiska marginalizacji społecznej w Polsce* (Warszawa 1997). Zajmuje się też tłumaczeniami. Przełożył na język polski takie książki, jak: *Prawnik jako negocjator* L. Hawkinsa, M. Hudsona i R. Cornalla (Warszawa 1994); *Zarządzanie firmą prawniczą* Alana Pannetta (Warszawa 1996), *Administracja publiczna w systemie politycznym* B. Guy’a Petersa (Warszawa 1999). W wolnych chwilach tłumaczy literaturę rozrywkową.

Bibliografia

- Assorodobraj N., „Życie i dzieło Stefana Czarnowskiego”, w: S. Czarnowski, *Dzieła*, PWN, Warszawa 1956, t. V.
- Comte A., *Rozprawa o duchu filozofii pozytywnej*, PWN, Warszawa 1973.
- Gouldner A.W., „Explorations in Applied Social Science”, w: A.W. Gouldner, S.M. Miller (red.), *Applied Sociology, Opportunities and Problems*, The Free Press, N.Y. 1964.
- Limanowski B., *Socjologia*, Gebethner i Wolf, Warszawa 1919.
- Limanowski B., „Socjologia”, w: J. Sztumski (red.), *Socjalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju*, KiW, 1989.
- Majone G., „Europe’s Democratic Deficit”, *The Question of Standards, European Law Journal* 1998, vol. 5.
- Merton R., „Rola intelektualisty w instytucjach państwowych”, w: R. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, PWN, Warszawa 1982.
- Moravcsik A., „In Defence of the Democratic Deficit: Reassessing Legitimacy in the EU”, *Journal of Common Market Studies* 2002, vol. 40.
- Supiński J., *Pisma. Wydanie poprawione i pomnożone*, t. IV, Warszawa 1872.
- Szacki J. (red.), *Sto lat socjologii polskiej*, PWN, Warszawa 1995.
- Szturm de Sztrem T., *Instytut Gospodarstwa Społecznego 1920–1944. Przyczynek do historii instytucji naukowo-społecznych w Polsce*, PWN, Warszawa 1959.
- Willems P., „The Cardoso Report on the UN and Civil Society: Functionalism, Global Corporatism, or Global Democracy?”, *Global Governance* 2006, nr 12.